

KOŚCIÓŁ KATOLUDZKI

PRYMAS WOJCIECH POLAK
MAREK ZAJĄC

KOŚCIÓŁ KATOLUDZKI
ROZMOWY O ŻYCIU Z EWANGELIĄ

WYDAWNICTWO WAM

ROZDZIAŁ 1

WIERNOŚĆ EWANGELII

Czy Polak to Polak?

Jaki z niego Polak, jaki chrześcijanin? Suspendować tego pacana!

To lewak, który szkodzi naszemu Kościołowi. Jakie ma on zasługi dla Kościoła? Dlaczego tak bezideową postać wybrano na prymasa?

Zwykły karierowicz, ustawia się z wiatrem z Watykanu. A że naszym, chrześcijaństwa i cywilizacji kosztem, to co ich tam...

Hańba, prymasie Polaku, hańba i wstydl!

...

To niektóre z wielu podobnie brzmiących wpisów po wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” z jesieni 2017 roku, w którym Ksiądz Prymas jednoznacznie opowiedział się za przyjmowaniem uchodźców. Jak się z tym Ksiądz Prymas czuje?

Jeżeli komentarze są nieuczciwe czy obraźliwe, jeżeli ich autorzy twierdzą, że nie mam prawa się wypowiadać, że zdradziłem Polskę i chrześcijaństwo, że wkładam oręż do ręki wrogom Kościoła – to widzę, jak boleśnie w tych wpisach odzwierciedla się podział naszego narodu i społeczeństwa. Agresja, która narasta. Brak wzajemnego poszanowania i niechęć zrozumienia bliźniego.

Cytuję tylko internetowe komentarze bez grubszych wulgaryzmów, na użytek książki poprawiam koszmarną ortografię i interpunkcję: „No pięknie, mamy prymasinę lewaka. Niech od razu powie, że jest mułłą, a nie księdzem katolickim”.

Tak, jasno opowiedziałem się za przyjmowaniem uchodźców. I powtarzam, że wynika to wprost z Ewangelii. To nie jest opcja, którą chrześcijanin może przyjąć bądź odrzuć, ale samo sedno nauczania Jezusa Chrystusa. Jeżeli chcesz naśladować Mistrza z Nazaretu, powinieneś iść Jego drogą. Każda inna powiedzie cię na manowce, może nawet do zguby. Często się zastanawiam, dlaczego tyłu naszych rodaków uważa uchodźców za obcych, którzy przyjdą odebrać im miejsce. Będą kraść, gwałcić i mordować.

Jaka jest odpowiedź?

Może mamy za niskie poczucie własnej wartości, zbyt słabą i płytką tożsamość. To zresztą symptomy typowe dla współczesnego świata – płynnego, niestabilnego, niepewnego. Niby czujemy się ważni i silni, dużo i głośno krzyczymy, ale w środku bardzo się boimy; drżymy o naszą przyszłość.

Ale czego boi się człowiek, który pisze: „Ten szmaciarz, pseudo-Polak powinien zniknąć wraz z jego prywatnym Kościołem; to nie chrześcijaństwo, tylko jakaś proislamska,

antypolska sekta o tendencjach do samozagłady. Powinien być sądzony”?

Taki człowiek uważa, że ma prawo nie tylko bronić swoich przekonań, ale też arbitralnie wyłączać innych ze wspólnoty, z Kościoła czy narodu. Jeżeli za takimi stwierdzeniami nie kryją się choroba albo patologia, to, mówiąc delikatnie, mamy tu do czynienia z brakiem elementarnego szacunku i pomieszaniem podstawowych pojęć. Zadaniem biskupa jest wraz z Kościołem, w duchu Ewangelii, odczytywać znaki czasu. Oczywiście inną wagę ma papieska encyklika czy wygłoszona w katedrze homilia, a inną – wywiad, w którym odpowiadam na konkretne pytania. Ale to nie znaczy, że obie przestrzenie się rozjeżdżają, że pozbawione są części wspólnej. Odnosząc się do uchodźców – nie głoszę moich prywatnych poglądów, ale przypominam nauczanie Kościoła. Tylko tyle i aż tyle.

A co Ksiądz Prymas powiedziałby autorowi innego komentarza: „Prymasiku, już ty mnie w kościele nie zobaczysz”?

Człowiek ogłasza, że odchodzi z Kościoła z mojego powodu... Ja nikogo nie wyrzucam, tylko zachęcam do zastanowienia, do opamiętania. Jeżeli są ludzie, którzy nie chcą, żeby Polska przyjmowała uchodźców – na pewno w naszym Kościele, pełnym różnych nurtów i odcieni, znajdą dla siebie miejsce. Pragnąłbym, aby zmienili zdanie, ale to nie znaczy, że muszą natychmiast porzucić

wspólnotę, ani że należy ich ekskomunikować. Chrześcijaństwo jest drogą, a nie metą – katolik przez całe życie, aż do śmierci się nawraca, bez przerwy boryka się z fałszywymi wyobrażeniami i własnymi słabościami.

Gdy zatem człowiek nie rozumie, że ze swoimi poglądami nadal mieści się w naszym Kościele – sądzę, że w gruncie rzeczy szuka samousprawiedliwienia dla faktu, że z chrześcijaństwem w ogóle mu nie po drodze; że po prostu odrzuca nauczanie Jezusa o miłości bliźniego. Co innego, gdybym wypowiadał się niezgodnie z nauczaniem Kościoła, każdy miałby wówczas prawo powiedzieć: „Prymas mnie zgorszył, porzucam kłamców i heretyków”. Ale ja mam pewność, że w żadnym razie nie naruszyłem doktryny. Kłopot w tym, że przywoływane przez pana opinie funkcjonują na poziomie emocji, a nie myślenia.

Prymasa Polski powinno zaniepokoić zdanie: „Podlizuje się lewakowi Franciszkowi, licząc na kapelusz kardynalski; olać tych antypolskich, chazarskich lewaków, żyjących w luksusie za nasze pieniądze! Czas na Kościół narodowy”.

To głos bardzo zasmucający, kompletne niezrozumienie idei Kościoła powszechnego. Podobne głosy są dla mnie osobiście ważne nie dlatego, jakobym zżerany ambicją starał się o kardynalską purpurę – ale dlatego, że sytuują mnie w dobrym towarzystwie. Potwierdzają, że jako ksiądz i biskup potrafię odczytać myśl papieża i trwać w jedności z Kościołem powszechnym. Nawet w kwestiach,

które bezpośrednio nie dotyczą wiary i moralności, wymagają tylko pewnego duszpasterskiego otwarcia czy wyczucia, przełożenia doktryny na życie codzienne. Może to niektórych zaskoczy, ale w przypadku kryzysu uchodźczego każdy wierzący ma sporą przestrzeń swobody; nie musi słowo w słowo powtarzać np. ocen i rozwiązań postulowanych przez papieża Franciszka. Zupełnie inną rangę ma wiara w zmartwychwstanie Jezusa, a inną próba odpowiedzi na pytanie, jak Europa powinna sobie radzić z kolejnymi falami uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki. Nie ulega natomiast wątpliwości, że potworną herezją jest wołanie: „Oderwijmy się i załóżmy Kościół narodowy”. Kto tak uważa, popełnia grzech rozbicia i niewykluczone, że na szali kładzie skarb własnego zbawienia.

W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” z ust Księdza Prymasa padły ostrzejsze słowa: „Jeśli ja usłyszę, że w Gnieźnie odbywa się jakaś manifestacja antyuchodźcza i że na to wybierają się moi księża, to mówię krótko: każdy, który tam pójdzie, będzie suspendowany”. Żałuje Ksiądz Prymas tych słów?

Nie żałuję. Na szczęście u mnie w archidiecezji nigdy do czegoś takiego nie doszło i nie sądzę też, aby miało się wydarzyć w przyszłości. Posłużyłem się hipotetycznym przykładem, i to mocnym, żeby uzmysłowić czytelnikom wagę problemu. Mogę to zresztą jeszcze wyostrzyć – założmy, że uchodźca uciekł, żeby ratować własne życie, a nie tylko szukając poprawy statusu materialnego. Jaka jest różnica między człowiekiem, który nie dość,

że owego nieszczęśnika nie chce przyjąć, to jeszcze publicznie traktuje z nienawiścią, a tym, który jawnie popiera aborcję na życzenie? W obu przypadkach mamy do czynienia ze sprzeciwem wobec życia.

O zestawienie tych dwóch kwestii pytał Jacek Karnowski z portalu wpolityce.pl. Było to dziewiąte z dwunastu pytań, których jego zdaniem nie zadano Księdzu Prymasowi na łamach „TP”. Uważam, że nie wolno ich lekceważyć.

Uważam tak samo.

Pierwsze pytanie: czy Kościół podejmie inicjatywę dnia modlitw za ofiary terroryzmu? Czy ofiary te, a także ich rodziny, nie powinny się „znaleźć w centrum uwagi Kościoła”, skoro media skupiają się na uchodźcach i imigrantach starają się szybko zatrzeć obraz poszkodowanych w zamachach?

Ale Kościół nie zapomina o ofiarach ataków terrorystycznych. Modlimy się za zabitych, rannych, za ich bliskich. Regularnie powstają raporty o prześladowaniach chrześcijan, często mordowanych przez islamskich fundamentalistów – ich pamięci poświęcony został odrębny dzień w kościelnym kalendarzu. Tak samo chcemy pamiętać o uchodźcach tonących w morzu całymi rodzinami, im poświęcamy Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy. Nie rozumiem, dlaczego jedno miałoby wykluczać drugie...

To było pytanie z pewną tezą: czy nie jest krzywdzące, że kierując się polityczną poprawnością, Kościół tyle mówi o uchodźcach, a nie potrafi odważnie i jednoznacznie stanąć po stronie ofiar terroru.

Proszę przejrzeć np. moje tweety pojawiające się w ostatnich latach po każdym z zamachów. Zawsze zapewniałem o modlitwie, wzywałem do opieki nad rodzinami poszkodowanych, apelowałem o pojednanie.

Gdzieś między słowami zdaje się w tym pytaniu pobrzmiewać przekonanie, że Kościół nie dostrzega związku między falą imigrantów a atakami terrorystycznymi w Europie.

Trzeba jeszcze wykazać, że taka prawidłowość naprawdę zachodzi.

A nie zachodzi?

Od początku pontyfikatu papież Franciszek ostrzega: trwa trzecia wojna światowa w kawałkach. To nie jest wojna regularna, a jednak realna – z namacalnymi zniszczeniami, z niewinnymi ofiarami, z milionami uchodźców. Jednym z głównych zarzewi stał się radykalny islam, uderzający m.in. w cywilizację Zachodu. To fakt: istnieje korelacja między zamachami i muzułmańskim fundamentalizmem, ale nie między zamachami i globalną wędrowką ludów. Bywa wręcz na odwrót, np. bieżący kryzys uchodźczy

w dużym stopniu spowodowała ucieczka właśnie przed bojownikami dżihadu.

Ale niektórzy terroryści rekrutują się z zaludniających Europę niezasymilowanych społeczności islamskich imigrantów.

Prawda. Tyle że to wciąż nie zmienia istoty problemu: gdyby nie agresywny fundamentalizm, nie byłoby zamachów.

Drugie pytanie: czy Kościoły zachodnie nie powinny w większym stopniu solidaryzować się z „ofiarami przemocy, tej głośnej i tej cichej, codziennej, której doświadczają mieszkańcy terenów dotkniętych masową imigracją”? Czy nie powinny udzielać „szerszej pomocy przedstawicielom niższych warstw społecznych”, z „etnicznie czyszczonych” dzielnic zajmowanych przez przybyszów? Czy jeżeli „Polskę dotknie masowa migracja, Kościół obejmie szczególną opieką mieszkańców (zazwyczaj biedniejszych) miejscowości, których życie zmieni się nie do poznania”?

Tu stawia się wyrazistą tezę, nie wiem jednak, czy rdzenni mieszkańcy Zachodu są aż tak zagrożeni.

Pamięta Ksiądz Prymas napaści na kobiety podczas sylwestra 2016 roku w Kolonii i innych niemieckich miastach?

Molestowanie jest złem i zbrodnią, nie ma żadnego usprawiedliwienia. Tylko czy tamte przypadki pozwalają postawić generalną tezę, że biedną ludność europejską brutalnie wypierają i masowo prześladują przybysze spoza kontynentu? Albo kwestia przyszłości Polski: mówi się, że w naszym kraju mieszkają i pracują już dwa miliony imigrantów z Ukrainy. Czy redaktor Jacek Karnowski chce, aby Kościół bronił przed Ukraińcami uboższych Polaków, którzy mieliby stracić zatrudnienie? Przecież u nas brakuje rąk do pracy, bezrobocie jest rekordowo niskie, a sąsiadów ze Wschodu wręcz sami zapraszamy do Polski.

To nie są Arabowie ani muzułmanie.

Mam zatem ogłosić, że Arabowie i muzułmanie są gorszą rasą niż Słowianie i chrześcijanie? A może w ogóle nie są ludźmi? Nie, tego nikt nigdy ode mnie nie usłyszy. Oczywiście mam świadomość, że Europa Zachodnia boryka się z asymilacją; że w wielu dziedzinach nie sprawdził się pomysł na społeczeństwo według projektu multikulti. Kościół nigdy nie twierdził, że polityka wobec uchodźców i imigrantów ma być bezrefleksyjnym przyjmowaniem wszystkich, którzy zapukają do naszych drzwi, zawsze i wszędzie, bez jakichkolwiek zasad. Ale nie ma zgody na manipulowanie lękami, na podsycanie nienawiści, na dzielenie ludzi na lepszych i gorszych ze względu na pochodzenie czy religię.

Pytanie trzecie wydaje się szczególnie istotne: jaki procent z kilku miliardów biednych ludzi na świecie powinna przyjąć Europa, aby sprostać swemu moralnemu posłannictwu?

Odpowiedź na tak abstrakcyjne pytanie zakłada, jakoby należało wyznaczyć maksymalną liczbę tych, których możemy przyjąć i pomieścić. Na tym koniec. I moralnie będziemy kryształowi. Ale to absurdatne założenie.

Moim zdaniem to pytanie przypomina o oczywistej prawdzie, że na tym świecie nigdy nie sprostamy potrzebom wszystkich cierpiących, prześladowanych, ubogich. A przyjmując masy przybyszów, być może tylko podsycamy nadzieję i prowokujemy nowe fale zdesperowanych migrantów.

Niedawno podczas obrad Konferencji Episkopatu Polski biskup Krzysztof Zadarko, nasz delegat do spraw imigracji, podkreślał: nie wolno uwierzyć, że problem wielkich wędrówek ludów zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Że za rok albo trzy lata nasza polityka stanie się na tyle skuteczna, że stwierdzimy: przyjęliśmy już wystarczająco wielu chętnych, pomogliśmy, nasyćiliśmy nasz rynek pracy i do widzenia. Nie, tak dobrze nie będzie. Jesteśmy niestety skazani na nieustanne zmaganie się z tym problemem. Niektórych przybyszów Europa przyjmie, innych nie wpuści, jedni sami wyjadą, ale zaraz pojawią się nowi. Zresztą – trzeba też brać pod uwagę, że być może w pewnym momencie

rozpocznie się exodus Europejczyków? Strzeż nas, Boże, ale wyobraźmy sobie, że to Polska staje się obiektem ataku – z dziećmi i staruszkami, całymi rodzinami zaczniemy uciekać przed bombami; nasze domy, szkoły i kościoły będą płonąć i walić się w gruzy... To naprawdę aż tak nieprawdopodobne?

To prawda, że nie sprostamy wszystkim potrzebom cierpiącego, głodnego i ubogiego świata. Pytanie tylko, czy wobec tego mamy się odciąć i odgrodzić, czy też zarówno w Europie, jak i poza nią, przyłożyć rękę do dzieł miłosierdzia, żeby życie naszych bliźnich stało się odrobinę lepsze. A co do prowokowania nowych fal przybyszów – i tak będą płynąć. Nie chodzi o to, że Europa kusi, więc ruszają w drogę. Przy tak dramatycznych i masowych przemieszczeniach nie ma miejsca na chłodną kalkulację. Dla większości ludzi porzucenie ojczyzny i domu jest decyzją radykalną, ostatecznym aktem desperacji, ucieczką przed śmiercią albo wegetacją na granicy przeżycia.

Tu pojawia się pytanie czwarte: czy zachęcanie poszkodowanych przez wojnę do „trwałego porzucania ojczyzny (a taki sens ma szerokie otwieranie drzwi bogatej Europy) jest moralne, skoro wyjeżdżają najzaradniejsi i najbogatsi, zmniejszając szansę na szybkie podniesienie się danego państwa z ruin? Czy Kościół nie powinien zabiegać o działanie odwrotne: niesienie pomocy jak najbliżej umęczonej ojczyzny ofiar wojny”?

Znowu jedno nie wyklucza drugiego, to nie jest alternatywa albo-albo! Kościół niesie pomoc na miejscu. I oby jak największa liczba

ludzi pozostała w ojczystych stronach, pomagając z czasem w odbudowie i powrocie do normalności. Episkopat Polski od dawna nieustannie apeluje, aby wpłacać miesięcznie określoną kwotę na utrzymanie konkretnej rodziny, która w Syrii każdego dnia walczy o przetrwanie.

Ksiądz Prymas też płaci?

Płacę, podobnie jak wielu innych biskupów. Moim podopiecznym jest Rimon Kanaan Mousally, który z żoną opiekuje się kilkorgiem dzieci. Tylko czy jednocześnie powinienem żądać, aby wygłodniałe dziecko wyrzucone przez morze na plażę wsadzić z powrotem na tratwę i odesłać tam, skąd przy płynęło z rodzicami? Czy mogę żądać od bliźniego, aby w imię moich przekonań, mojego poczucia bezpieczeństwa, o dobrobycie już nie wspominając, pozostał w ostrzeliwanym rakietami domu? Proszę odwiedzić obozy dla uchodźców. To naprawdę nie jest tak, że uciekają tylko cwani, bogaci i inteligentni.

Płynnie przechodzimy do pytania piątego, które w moim przekonaniu dotyka sedna całego sporu, a także przyczyny licznych nieporozumień. Jacek Karnowski pisze: czy „powszechna już wiedza, wskazująca, że wśród przybyszów prawdziwi uchodźcy wojenni stanowią kilka procent, a może i mniej, nie powinna skłaniać do ostrożnego postępowania”? Czy posługiwanie się słowem „uchodźca” nie jest nadużyciem, a wręcz

manipulacją, skoro większości chodzi wyłącznie o życie lepsze pod względem materialnym?

Mówiąc o uchodźcach, zawsze mam na myśli tych, którzy muszą ratować własne życie. Ale to nie znaczy, że przed imigrantami ekonomicznymi mamy automatycznie zatrzaskać drzwi. Nie bądźmy hipokrytami. Kiedy w stanie wojennym Polacy masowo wyjeżdżali na Zachód, też kierowali się różnymi motywacjami. Niewielka była grupa osób, których życie i wolność były bezpośrednio zagrożone. Ale większość – mówiąc, że tu się nie da żyć – miała na myśli coś innego: brak możliwości rozwoju i nadziei na lepszą przyszłość, puste półki w sklepach, wszechobecną szarość i zakłamanie. A mimo to ubiegali się o azyl i korzystali z pomocy w krajach Zachodu.

Czy Kościół – pytanie szóste – otwarty „na wsłuchiwanie się w głos ludu, promując faktyczną imigrację, nie zbywa zbyt lekką ręką obaw” swoich rodaków i wiernych? Czy obawy te nie wynikają z „głębokiej mądrości i dojrzałości Polaków, po doświadczeniu dwóch totalitaryzmów doskonale wyczuwających ideologiczny fałsz”?

Powtarzam: Kościół w żadnym razie nie głosił, że należy otworzyć wszystkie granice i przyjąć każdego, kto stanie przed naszym progiem. Co jednak zarzucić można pomysłowi, o którego realizację bezskutecznie dopominają się polscy biskupi, a mianowicie idei

utworzenia tzw. korytarzy humanitarnych? Przyjęlibyśmy wybraną grupę, np. syryjskich dzieci zmagających się z różnymi chorobami, przebywających teraz w ciężkich warunkach w obozach w Libanie. Każdego przybysza dokładnie sprawdziłyby miejscowe i polskie służby bezpieczeństwa. Po leczeniu w polskich szpitalach dzieci wracałyby do siebie. Kłopot w tym, że nie możemy zorganizować tych korytarzy bez zgody rządu.

O ilu osobach mówimy?

Tego nigdy nie precyzowaliśmy, ale przecież na początek chodzi o przyjęcie kilkudziesięciu potrzebujących.

Tylko chrześcijan?

Nie, nigdy nie myśleliśmy w takich kategoriach. Jak dobrze może to działać, widziałem we Francji, a konkretnie we wspólnotce w Taizé. Z dzikiego obozowiska pod Calais bracia zabrali grupę kilkunastu osób, a potem jeszcze kilka. Szanując potrzeby muzułmanów, nawiązali kontakt z imamem, który zaopiekował się nimi duchowo.

Dlaczego nasz rząd odmawia współpracy przy uruchomieniu korytarzy humanitarnych?

Od miesiący słyszymy szczerą odpowiedź: „Nie, ze względów politycznych”. Wprawdzie na początku 2018 roku w innym duchu

wypowiadali się m.in. premier Mateusz Morawiecki i wicepremier Jarosław Gowin, ale na konkretne działania wciąż czekamy.

A wracając do pytania redaktora Jacka Karnowskiego: jeżeli chodzi o głos narodu, ja z kolei mam pytanie – czy to mądrość ludu doświadczonego przez dwa totalitaryzmy, czy może postawa tak samo propagandowo spreparowana przez tych, którzy przekonują innych, że pomoc dla uchodźców oznacza otwarcie drzwi przed terrorystami? Tak odzywa się zasiany wśród ludzi strach, co stanowi ideologię równie niebezpieczną jak postawa, która ma promować otwarcie Europy bez żadnych granic i barier.

Siódme pytanie: czy na refleksję nie zasługują doświadczenia „państw zachodnich, wskazujące, że islamizacja przyspiesza laicyzację i wypycha chrześcijaństwo” z życia prywatnego i publicznego?

Zasługują, tyle że trudno obronić hipotezę, że islamizacja przyczynia się do laicyzacji. Ilu muzułmańskich uchodźców Polska zgodziła się przyjąć do chwili, gdy toczy się nasza rozmowa?

Zero.

Tymczasem według najnowszych szacunków Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego liczba Polaków uczęszczających regularnie na niedzielne msze święte spadła do najniższego poziomu od początku lat 80. i wynosi 36 procent. Sami jesteśmy temu winni,

sami popełniliśmy błędy, sami porzucamy wiarę i Kościół – bez nacisku z zewnątrz.

Poza tym: dlaczego dla wielu rdzennych obywateli Anglii, Francji czy Niemiec islam staje się atrakcyjnym wyborem? Przede wszystkim dlatego, że większość tamtejszych społeczeństw sama porzuciła chrześcijaństwo, które stało się letnie i miałkie; nie potrafiło zaspokoić niczyich potrzeb i oczekiwań. Zamiast myśleć o muzułmanach, których stopa nawet jeszcze nie stanęła w naszym kraju, przypatrzmy się samym sobie i bierzmy się do pracy.

Jednak czy nie obawia się Ksiądz Prymas, że nastąpi nie tyle laicyzacja, ile zaburzenie proporcji w społeczeństwach Europy, w tym także Polski? Procentowo rzecz biorąc, jesteście krajem katolickim, homogenicznym pod względem narodowościowym. Wpuszczając rzesze muzułmańskich imigrantów, zmienimy układ sił społecznych, co długofalowo musi odbić się na kształcie państwa, obyczajach i mentalności itd.

Czy przedwojenna, wielokulturowa Rzeczpospolita była krajem gorszym niż nasza dzisiejsza ojczyzna? Czy była nieprzyjazna Kościołowi katolickiemu? Kiedy wiara była mocniejsza – wtedy czy teraz? Zaburzenie może nastąpić wyłącznie w sytuacji, gdy sami roztrwonimy naszą tożsamość, wiarę i tradycję. Porzucimy nasze zobowiązania, przestaniemy od siebie wymagać i pójdziemy za tym, co łatwiejsze. Idealem nie jest społeczeństwo zamknięte, ale takie, które się rozwija, nie marnując własnego potencjału.

A szczególnie szybko i mądrze rozwijamy się nie w monologu, lecz w dialogu.

Pytanie ósme: czy droga umierających Kościołów zachodnich, przejmujących pod wieloma względami program lewicy, nie jest dla Polaków ważną lekcją i przestrożą?

Jesteśmy narodem nadal masowo religijnym, ale czym innym niż deklaracje i statystyki jest wiara żywa, autentyczna więź z Jezusem Chrystusem, która przekłada się na codzienną praktykę. Stale powtarzam, że niesprawiedliwa jest opinia o umierających Kościołach Zachodu. Zapraszam redaktora Karnowskiego na wakacje do wspomnianego już Taizé, gdzie wraz z młodzieżą z Polski spotkałem tysiące ich rówieśników z krajów zachodnich. Oczywiście ich Kościoły są poranione, ale wcale nie umarły. Pobyt w Taizé nie jest ckliwą zabawą ani powtarzaniem lewicowych komunałów, ale opiera się na modlitwie, duchowym wzrastaniu, spotkaniu z Bożym słowem i Eucharystią, wreszcie to konkretna pomoc socjalna dla bliźnich. My, Polacy, możemy się tam naprawdę sporo nauczyć.

Co nie zmienia faktu, że na Zachodzie kościoły świecą pustkami.

Co nie zmienia faktu, że są tam chrześcijańskie środowiska, które pustkami nie świecą. Dobrym przykładem są Wspólnoty

Jerozolimskie, które rosną w Paryżu, w otoczeniu – zdawałoby się – skrajnie zlaicyzowanym i nieprzyjaznym. Na dwustuleciu odnowienia diecezji w Spirze widziałem tylu ludzi, że w Gnieźnie nie byłbym w stanie tylu zgromadzić, a przecież tamtejsza katedra to kolos. Jasne, że w Niemczech zdarza się łączenie kilkunastu parafii w jedną, bo brakuje księży i wiernych, ale obraz nie jest aż tak jednolicie czarny ani jednorodny.

Chce Ksiądz Prymas powiedzieć, że ani u nas nie jest tak dobrze, ani na Zachodzie tak źle?

Przede wszystkim chciałbym, żebyśmy w Polsce nie pogrążyli się w drzemce i złudnym samozadowoleniu. Sytuacja nie jest bowiem tak jednoznacznie zero-jedynkowa czy czarno-biała. A gdyby czytelnik domagał się konkretnego przykładu, proszę bardzo: archidiecezja gnieźnieńska. Niech pan zrobi wizytację bez bierzmowania w środku tygodnia i przekona się, ilu ludzi przychodzi na wieczorną mszę świętą. Odprawiałem już przy dwudziestu, trzydziestu wiernych. To ma być nasz masowy katolicyzm?

Miał Ksiądz Prymas rok bez kandydatów do seminarium?

Jeszcze nie, ale w roku 1050-lecia chrztu Polski zanosilo się na to, że nie będziemy mieli święceń kapłańskich, po raz pierwszy od ponad czterystu lat. Kilku kleryków odeszło, inni byli na urlopach itp. Koniec końców do święceń przystąpili diakoni, którzy

z różnych powodów mieli opóźnioną datę przyjęcia sakramentu kapłaństwa. Ale mimo wszystko musiałem sobie postawić poważne pytanie, czy właśnie w obliczu wielkiego jubileuszu, wszystkich wspaniałych celebr i uroczystości, Bóg nie chciał nauczyć nas pokory.

Czasem dziennikarze dociskają w wywiadach, pytając, jakie są w Polsce proporcje między szczerze i świadomie wierzącymi a ludźmi religijnymi na poziomie standardowych i rytualnych deklaracji, tradycji czy przyzwyczajenia. Oczywiście nie umiem aż tak głęboko zajrzeć w niczyją duszę i nie mnie, tylko Bogu, to oceniać. Na podstawie wieloletniego doświadczenia, jako ksiądz i biskup powiedziałbym jednak, że największą grupę stanowią ludzie usytuowani pomiędzy, gdzieś pośrodku, których trzeba ewangelizować, często właściwie od podstaw. Zdarza się, że ojciec przychodzi z dzieckiem na spotkanie pierwszokomunijne, katechezę czy ostatnią próbę przed uroczystością i na głos wykrzykuje: „Twoja matka mówiła, że będzie krótko, a siedzimy tu od godziny!”. To ma być odpowiedzialność ojca za wiarę syna czy córki? To jest wręcz pogaństwo, a na pierwszym miejscu brak miłości. Nie dość, że rodzic nie ma żadnego szacunku dla wiary, to jeszcze próbuje popsuć dziecku jego wielkie święto. To są te masy, które dopiero trzeba doprowadzić do Chrystusa i wiary.

Wróćmy do pytań Jacka Karnowskiego. Dziesiąte: czy „trwanie narodu, jego tożsamość, spójność są wartościami, które nie zasługują na ochronę”?

Zasługują na ochronę, tylko najpierw trzeba się zastanowić, jak mądrze budować narodową spójność i tożsamość – na piasku czy na skale? Poprzez izolację, budowanie murów, odgradzanie się od innych? A może lepsza byłaby jednak droga dialogu i otwartości, troska o naród i państwo w oparciu o model jagielloński, który tak często za wzór stawał święty Jan Paweł II.

Czy Kościół – jedenaste pytanie – zamierza „na nowo odnieść się do takich postaci historycznych jak Władysław Warneńczyk, Jan III Sobieski czy papież – twórcy Świętych Lig, którzy w islamie dostrzegali śmiertelne zagrożenie dla Europy i podejmowali walkę zbrojną z kolejnymi inwazjami? Czy nie należy uznać, że oni wszyscy źle odczytywali nauki Chrystusa”?

Ci królowie i papież odczytywali nauki Chrystusa w kontekście miejsca i czasu, w których przyszło im żyć. Twierdzenie, że w XXI wieku potrzeba Europie i Polsce nowego Warneńczyka i Sobieskiego, żeby nas obronili przed islamem z pomocą czołgów i armat, jest przejawem absurdałnego myślenia ahistorycznego. Doceniam i cieszę się ze zwycięstwa pod Wiedniem w 1683 roku. Było wówczas niezbędnym warunkiem przetrwania, ale może warto zauważyć, że w 2018 roku żyjemy jednak w nieco innym świecie. Notabene równie pozbawiona sensu jest druga skrajność, czyli próby przykładania dzisiejszego rozumienia wolności religijnej do zamierzonych wydarzeń i sugerowanie, że na takich bohaterów

jak król Jan III należałoby spuścić zasłonę milczenia. Szczerze mówiąc – nawet nie wiem, co powiedzieć, gdy spotykam się z podobnymi opiniami...

I ostatnie już pytanie, wątek wciąż przewijający się w dyskusji o uchodźcach – głosny cytat z Prymasa Tysiąclecia. W *Kazaniach świętokrzyskich* kardynał Wyszyński wskazał na tzw. *ordo caritatis*, czyli porządek miłowania: „Zaczynając od najbliższych sobie, zaspokajając potrzeby rodziny, narodu czy państwa, dopiero w dalszym rzucie, kierując się miłością ogólnoludzką, możemy służyć zbywającymi dobrami innym ludziom i narodom”.

Często spotykam się z bezrefleksyjnym szermowaniem naukami prymasa Wyszyńskiego o narodzie i naszych powinnościach wobec ojczyzny. Przede wszystkim mam wrażenie, że tę głęboką myśl się prymitywizuje, wyrywa z szerszego kontekstu i sprowadza do hasła, które z Ewangelią nie ma nic wspólnego: byle nam było coraz lepiej! Jednocześnie dziwnym trafem zapominamy, że właśnie według owego chrześcijańskiego *ordo caritatis* troska o uchodźcę, który walczy o własne życie – jest ważniejsza niż pielęgnowanie naszego komfortu, co ostatnio często przypomina przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski arcybiskup Stanisław Gądecki.

Niektórzy powiedzą: dlaczego mamy pomagać obcym, gdy w Polsce wciąż są głodne dzieci?

Są głodne dzieci, są bezdomni, są starsi ludzie, którzy nie mają za co kupić lekarstw. Ale naprawdę nie widzimy różnicy między współczesną Polską a Syrią obróconą w ruiny? Naprawdę chcemy ogłosić światu, że my, Polacy, nie mamy czym się dzielić z innymi? To byłoby obłudne kłamstwo. Choćby ja sam: nie żyję w luksusie, ale w żadnym razie nie przymieram głodem. I powiem otwarcie: niepokojem mojego sumienia jest poczucie, że wciąż robię za mało dla bliźnich.

Manipulacja słowami kardynała Wyszyńskiego to kolejny przykład myślenia ahistorycznego. Słowa Prymasa z lat 70. minionego wieku bez zastanowienia przenosi się na Polskę Anno Domini 2018 – wolną i demokratyczną, kwitnące państwo z rosnącym PKB i kilkuprocentowym bezrobociem. Czy nie bronimy osiągniętego dobrobytu za wszelką cenę, po prostu nie chcąc podzielić się z innymi i na siłę szukając usprawiedliwień?

Jeden z internautów pisze: „Myślę, że prymas Polski musi sobie przemyśleć pewne sprawy, przeciw narodowi stawał tylko Jaruzelski, nikt inny się nie odważył”.

Rozumiem, że za chwilę przywoła pan statystyki i wykaże, że większość Polaków nie chce przyjąć uchodźców.

Z reguły grubo ponad 60 procent.

Po pierwsze, z punktu widzenia Ewangelii mogłoby to być nawet 99 procent – a nauczanie Jezusa o miłości bliźniego, zwłaszcza

potrzebującego naszego wsparcia, pozostanie jedyną i prawdziwą drogą do zbawienia. Po drugie, akurat w tym przypadku mamy pozostałe 40 procent. Jeżeli zarzuca mi się, że stoję przeciwko narodowi – chciałbym zapytać, czy sprzeciw wobec przyjmowania uchodźców jest jedynym i najważniejszym kryterium, ostatecznie rozstrzygającym o przynależności do narodu polskiego? Czy czterech na dziesięciu obywateli naszego kraju należy uznać za obcych, odmówić im prawa do wyrażania swoich poglądów, odebrać obywatelstwo i usunąć poza granice państwa?

Po trzecie, trzeba się zastanowić, przeciw komu wypowiada się większość ankietowanych; przeciw uchodźcom uciekającym przed wojną czy przeciw terrorystom, których przerażający obraz jest nam ukazywany w mediach? Czy tak samo odpowiedzieliby na sondażowe pytanie, gdyby twarzą w twarz stanęli z konkretnym człowiekiem, który na pontonie przyplłynął na włoską Lampedusę wraz z całą rodziną?

Cóż, to stara jak świat zasada: łatwo się wypowiada ogólne sądy – a im ostrzejsze, tym z reguły większe samozadowolenie. Dopiero osobista konfrontacja z drugim człowiekiem może osłabić nasze poczucie nieomyślności. Przed laty Amos Oz, izraelski pisarz, opublikował znakomite wykłady o fundamentalizmie, zresztą nie tylko islamskim. Żeby uchwycić jego sedno, przywołał anegdotę o przyjacielu, też literacie, który wracał taksówką ze spotkania autorskiego. W pewnym momencie kierowca oświadczył: „Tych wszystkich Palestyńczyków

trzeba wymordować! Nie ma innego wyjścia”. Na co pisarz, zamiast się oburzyć, ucieszył się: „To bardzo dobry pomysł! Zastanówmy się tylko, jak to zrobić technicznie. Kto powinien ich zabijać: wojsko, policja? A może byłoby sprawiedliwie, gdyby każdy z nas zlikwidował po kilku?”. Taksówkarz przytaknął, więc pasażer zaproponował: „Proszę sobie w takim razie wyobrazić, że w bloku w Hajfie zabija pan Palestyńczyków, piętro po piętrze. Gdy już zamierza pan wyjść z budynku po wypełnionym zadaniu, nagle słyhać płacz małego dziecka. Rozumiem, że wraca pan i strzela?”. Zapadła długa cisza, aż wreszcie zirytowany taksówkarz obrócił się do pisarza i powiedział: „Pan jest bardzo okrutnym człowiekiem”.

Pouczająca historia, ale pan wie, że niestety w Polsce niektórzy powiedzą, że to tani, haniebny szantaż emocjonalny. Zdjęcie martwego dziecka wyrzuconego przez morze na plażę – szantaż. Film z obozu dla uchodźców, gdzie ludzie wegetują w trudnych warunkach – szantaż. Mały chłopczyk wyciągnięty spod gruzów zbombardowanego w Syrii domu – szantaż. To nic, że to wszystko są fakty, autentyczna śmierć i autentyczne cierpienie. My nie damy się zaszantażować!

Dlatego chciałbym zapytać: czy szantażem emocjonalnym nie jest kreowanie wyobrażeń, że uchodźcy przybędą kraść, mordować i gwałcić? Wmawianie ludziom, że wszyscy przybysze są potencjalnymi terrorystami? Czy nie tak wyłącza się trzeźwe myślenie i tworzy propagandowe zbitki wywołujące emocje? W zeszłym roku

Stalową Wolą wstrząsnęła tragedia; nożownik wszedł do centrum handlowego i zaatakował bezbronnych ludzi, jedna osoba zginęła. Media od razu ogłosiły: szalenciec. Wyobraźmy sobie, że coś takiego zdarzyłoby się we Francji czy Niemczech. Natychmiast, nie czekając na żadne informacje ze śledztwa, ogłoszono by u nas, że to terrorysta.

Gdy w kwietniu 2017 roku doszło do ataku bombowego na autobus przewożący piłkarzy Borussii Dortmund, w Polsce natychmiast mówiło się o islamskich fundamentalistach. Tymczasem sprawcą był Rosjanin, który chciał wpłynąć na kurs klubowych akcji. Zapytam jednak w innym duchu: gdyby księża poszli na demonstrację pod hasłem „Nie dla islamizacji Europy, nie dla szariatu w europejskich miastach”, czy Ksiądz Prymas też by ich suspendował?

Na pewno bym nikogo nie suspendował za poglądy, czyli za przeciwstawianie się islamizacji Europy i narzucaniu szariatu. Nie widziałbym w tym nic nagannego. To proste rozróżnienie: protest przeciwko ideologii nie jest wymierzony w konkretnego człowieka – np. uchodźcę, którego się wbrew faktom demonizuje.

A podobałoby się to Księdzu Prymasowi?

Uważam, że duchowny w ogóle nie powinien brać udziału w manifestacjach o wydźwięku politycznym, niezależnie od tego, czy wspierają prawicę, czy lewicę.

Tu wracamy do punktu wyjścia. Polemiści Księdza Prymasa powiedzieliby, że nie tyle protestują przeciw uchodźcom, ile przeciw islamizacji i niszczeniu chrześcijańskiego rdzenia Europy.

Faktycznie – zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyrwiemy się z tego ślepego zaułka; czy zdołamy uporządkować podstawowe wartości i pojęcia, żeby wreszcie prowadzić w Polsce rzeczową rozmowę o sprawach naprawdę ważnych. A zacząć by trzeba od czegoś, o czym już wspominaliśmy, czyli od zaprzestania nieuczciwego żonglowania określeniami takimi, jak uchodźca, imigrant, islamski fundamentalista i terrorysta.

Szukając przyczyn tego, że moje wypowiedzi wzbudziły aż tyle niechęci, wręcz furii – rozmawiałem z moim bratem, który zasugerował, że zamiast tracić energię na jałowe spory, musimy zrobić krok do przodu. To znaczy: wychowywać i edukować. Jeszcze nie wiem, jak to zrobić; nie wiem, czy miałbym odwagę coś konkretnego zaproponować, ale dostrzegam potrzebę takich właśnie działań.

Tak, musimy zrobić następny krok, brat mądrze mi radził. Posługując się hipotetycznym przykładem, powiedziałem, że suspendowałbym księży z archidiecezji, gdyby wzięli udział w demonstracji przeciwko uchodźcom. Czy jednak umiałbym powiedzieć, jakie są poglądy większości moich księży w kwestii uchodźców? Nie wystarczy udzielić wywiadu i rzucić kilka słów. Moim zadaniem jest rozmawiać z kapłanami; przekonać ich, jeżeli mają wątpliwości czy

zastrzeżenia – i liczyć na to, że potem z kolei oni zaangażują się w dialog z parafianami, z uczniami w szkole itd.

Coś we mnie pękło, gdy zobaczyłem sztandary ONR w katedrze w Białymstoku. Nie przypuszczałem, że za mojego życia w kościele w Polsce zobaczę, jak przed ołtarzem dumnie stoją kontynuatorzy tradycji przedwojennych faszystów i antysemitów.

Ma pan wątpliwości, czy również wieloletnie wysiłki na rzecz zbliżenia Polaków i Żydów głęboko i na trwałe przeorały naszą mentalność? Ja bym to widział w innym świetle: wydarzenia z Białegostoku, notabene od razu słusznie napiętnowane przez władze kościelne, pokazują, że to nigdy nie jest proces skończony. Mogliśmy się o tym przekonać, gdy po przegłosowaniu nowelizacji ustawy o IPN wybuchł kryzys w relacjach z Izraelem i środowiskami żydowskimi. Z drugiej jednak strony jesienią 2017 roku zorganizowaliśmy spotkanie katechetów archidiecezji gnieźnieńskiej z naczelnym rabinem Polski, Michaeliem Schudrichem. Kilkadziesiąt lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Cierpliwa edukacja przynosi efekty.

Tomasz Terlikowski komentował: w Kościele nie brakuje ludzi sprzeciwiających się przyjmowaniu uchodźców. A Ksiądz Prymas o tym wie, dlatego w poczuciu bezradności musi odwołać się do przemocy, czyli do straszenia suspensą.